EMIGRACJA

Agnieszka Muszyńska

Problem emigracji z Polski powstał w moim domu w 1968 roku. Mój były mąż jest całkowicie spolszczonym Żydem. Oboje pracowaliśmy naukowo w różnych instytucjach. Rozpoczęta w marcu 1968 roku nagonka na Żydów nie dotknęła nas osobiście, ale atmosfera była bardzo nieprzyjemna i wcale nie było wiadomo czy wkrótce nie będziemy kolejnymi ofiarami systemu. Wielu naszych przyjaciół straciło wtedy pracę. W konsekwencji wielu z nich zdecydowało się wtedy opuścić Polskę. Powyjeżdżali – najczęściej przez Izrael na zachód – do USA, Kanady, Australii. Mój mąż był patriotą i absolutnie nie chciał emigrować, nawet wtedy, gdy w rok poźniej nasi przyjaciele, którzy osiedli w Kanadzie, zapraszali nas oboje do pracy na nowo-otwarym, poszukującym pracowników naukowych uniwersytecie. Mieliśmy więc wtedy prawie zagwarantowaną pracę. Najtrudniejszy element rozpoczynania życia od nowa byłby więc rozwiązany.

Pozostaliśmy więc w Polsce. Od tego czasu jednak czułam się "zagrożona. Zaczęłam studiować bliżej problem emigracji i imigracji. Uczyłam się też języków. Pracując naukowo i wielokrotnie wyjeżdżając za granicę na konferencje międzynarodowe lub na indywidualne zaproszenia przyjaciół, bardzo dużo rozmawiałam ze spotkanymi ludźmi, zarówno miejscowymi, jak i przybyszami z innych krajów. Starałam się badać i "wpasowywać" siebie w poznawane środowiska. Nie chciałam, by następne "polowanie na czarownice" w Polsce mnie zaskoczyło. Już przewidywałam, że ono niewątpliwie nastąpi – w takiej czy innej formie. Musiałam też myśleć o naszym synu, który w połowie był Żydem. Mój mąż zupełnie nie rozumiał i nie podzielał mojego "stanu zagrożenia". Okazało się później, że miał swoje własne alternatywy. I tak, po powrocie z jednej z moich podróży na zachód, męża już w domu nie zastałam: wyprowadził się do swojej nowej dziewczyny. Mój problem nabrał nowego, znacznie ciemniejszego koloru. Od tego momentu stałam się całkowicie odpowiedzialna za siebie i za przyszłość dorastającego syna.

Dzięki kontaktom personalnym i dzieki znajomości francuskiego języka w 1975 roku zostałam zaproszona do Francji na uniwersytet w Lyonie jako "visiting professor". Przepracowałam tam trzy semestry prowadząc wykłady. Napisałam też skrypt i prowadziłam prace naukowe. Bardzo intensywnie badałam również możliwość imigracji. Niestety Francja wcale nie była otwarta dla cudzoziemców, nie tylko formalnie, lecz głównie środowiskowo. Społeczeństwo francuskie było bardzo niedostępne, zamknięte. Ludzi mówiących po francusku z obcym akcentem obraźliwie nazywano "*métèque'ami*" (przybłędami). Nawiasem mówiąc, pracując we Francji ponownie w 2001 roku, na innym z kolei uniwersytecie, stwierdziłam, że Francja wielce jednak w tym względzie się zmieniła: wskutek ogromnej imigracji, głównie z Indii oraz z byłych kolonii francuskich, przeforsowano to co w USA nazywa się '*political correctness'* i słowo "*métèque*" znikło zupełnie z popularnego języka. W owych dawnych czasach jednak Francja, jako kraj imigracji, nie wchodziła zupełnie w moim przypadku w rachubę.

W 1979 roku otrzymałam zaproszenie na rok pracy w jednym z amerykańskich Uniwersytetów jako "*visiting scientist*". Zaproszenie było profesjonalnie atrakcyjne, bo od kilku lat prowadziłam współpracę z naukowcami z tego ośrodka; opublikowaliśmy już wspólnie kilka artykułów. Zaczęłam przygotowywać się do wyjazdu. Syn był już wtedy na 5-tym roku studiów wyższych.

Wiele razy przedtem słyszałam od znajomych, że Służba Bezpieczeństwa werbuje na swoje usługi osoby wyjeżdżające za granicę. Mnie to się szczęśliwie nie zdarzyło – aż do dnia o tydzień poprzedzającego mój zaplanowany wyjazd do USA. Wieczorem zadzwonił telefon:

– Tu Urząd Bezpieczeństwa. – Zdenerwowałam się, ale nie dawałam za wygraną.

– Ale kto mówi, co to pan nie ma nazwiska? – Wymienił nazwisko.

– Pani wybiera się do USA… Muszę z panią porozmawiać.

Już wiedziałam o co chodzi i do czasu owego spotkania, które wyznaczył w pustej sali restauracji, bardzo intensywnie przemyśliwałam co z tym fantem zrobić.

Przyszedł z ogromną teką, w której niewątpliwie znajdował się magnetofon. Dobrze wiedziałam, że jedno jego słowo gdzie trzeba, znieweczy na zawsze moje szanse wyjazdowe, nie mówiąc już i o innych możliwych represjach. Musiałam więc bardzo dyplomatycznie lawirować. Wymawiałam się, że będąc naukowcem nie mam żadnego przeszkolenia w "szpiegowaniu", a mój obecny wyjazd i pobyt w USA jest uzależniony od uniwersytetu, który mnie zaprosił. Wynik był taki, że już w Stanach miał ktoś z polskiej Ambasady w USA zgłosić się do mnie ze szczegółowymi instrukcjami.

W styczniu 1980 roku rozpoczęłam pracę na tym uniwersytecie w USA. Z ogromnym niepokojem oczekiwałam pojawienia się owej osoby z Ambasady. Już zaczęłam też starania o otrzymanie wizy, a poźniej, być może, obywatelstwa kanadyjskiego. Staranie się o wizę pobytową USA nie wchodziło w rachubę; miałam wizę J-1, opatrzoną dużymi restrykcjami, kóre uniemożliwiały zamiany tej wizy na jakąkolwiek inną. Nosiłam się z ewentualnością pozostania na amerykańskim kontynencie, bojąc się represji w Polsce za "niewykonywanie instrukcji".

Natychmiast też wysłałam memu synowi list z zaproszeniem do USA. Dwukrotnie polskie władze odmawiały wydania mu paszportu. Aż wreszcie, w końcu sierpnia 1980 roku, urzędniczka stwierdziła, że "nie widzi przeszkód". Po wizycie w Polsce Papieża, Jana Pawła II w 1979 roku i po podpisaniu Umów Gdańskich, Polacy jakby przestali się bać i zaczęli myśleć samodzielnie. W kilka tygodni poźniej, syn przyjechał do mnie i kontynuował studia na "moim" uniwersytecie.

Wszystko było dobrze, aż któregoś październikowego wieczoru – pukanie do drzwi: dwóch panów wylegitymowało się plakietkami FBI (*Federal Bureau of Investigation USA*). Byłam przerażona. W tym momencie wcale nie wiedziałam, czy to rzeczywiście FBI, czy też ludzie z polskiej Ambasady wypróbowują mnie… Bardzo się bałam tego drugiego. Zapytałam jak mogę sprawdzić ich przynależność do FBI. W książce telefonicznej wskazali mi numer FBI, bym zadzwoniła.

Panowie byli bardzo uprzejmi i wkrótce opowiedzieli mi o przyczynie wizyty. Niezwykle bezpośrednio wyznali, że od chwili mego przyjazdu, przez pół roku byłam rutynowo śledzona, jako przybysz zza żelaznej kurtyny (nota bene nigdy tego nie zauważyłam). Potem rutynowo zaniechali owego śledzenia, bo nic szczególnego poza pracą nie robiłam. Aż tu nagle bomba wybuchła!

W skrócie wydarzenia potoczyły się następująco: Lecąc do Warszawy 14 marca 1980 roku, pracownik polskiej Ambasady, który miał się ze mną skontaktować, stał się jedną z ofiar słynnej katastrofy samolotu IL-62 LOT-u w pobliżu lotniska na Okęciu. Minęło potem kilka miesięcy zanim następna osoba została wydelegowana do polskiej Ambasady na owo wakujące stanowisko. Pierwszą jednak rzeczą, którą po przybyciu do Waszyngtonu ta osoba zrobiła, było oddanie się w ręce FBI i wkupienie się – ofiarowując FBI pełną listę "polskich szpiegów" w USA. Moje nazwisko na niej figurowało. FBI musiało na nowo otworzyć moje akta…

W tym miejscu – bardzo współczesny komentarz do powyżej opisanej sprawy: na liście Wildsteina moje nazwisko nie figuruje! Czyżby cała lista, jako "zdekonspirowana" w 1980 roku przez owego pracownika Ambasady, została w tamtych czasach wycofana z list Urzędu Bezpieczeństwa, a odpowiednie teczki zniszczone? Tak czy inaczej, niewątpliwie żyją obok nas w USA ludzie o niezbyt chwalebnej przeszłości…

Dla mnie zaczęły się wtedy długie, wielotygodniowe przesłuchiwania w FBI, włącznie z użyciem poligrafu. Ponieważ nic nie miałam na sumieniu, zarówno jeśli chodzi o Polskę jak i USA, nie było to jednak aż tak bardzo stresogenne, aczkolwiek niezbyt miłe i czasochłonne. Panowie z

FBI byli bardzo kulturalni i nawet dzielili się ze mną informacjami dotyczącymi możliwości imigracji.

Wtedy bowiem już nie było dla mnie powrotu do Polski. Nie mogłam ryzykować następnych, napewno znacznie gorszych, przesłuchań w UB oraz wilczego biletu na przyszłość. Definitywnie zdecydowałam się pozostać w USA. W ten sposób Urząd Bezpieczeństwa w Polsce przyczynił się do mojej decyzji, z którą bardzo wahałam się.

Zrealizowanie pozostania w USA nie było jednak wcale łatwe jak by się wydawało: jak wspomniałam wyżej, miałam wizę J-1, która nie pozwala na bezpośrednią zamianę na inny status pobytowy. Zaczęłam studiować imigracyjną część prawa amerykańskiego. Z czterech możliwości zniesienia restrykcji wizy J-1, jedna odpadała od razu (status rodzinny). Pozostałe trzy dopuszczały: 1- uzyskanie zwolnienia z restrykcji tej wizy przez któryś z Departamentów rządowych USA, albo 2- prośbę o azyl polityczny, albo też 3- udowodnienie, że jest się międzynarodowo uznanym naukowcem, i to w dziedzinie, w której może się wnieść duży wkład do gospodarki USA (jak Albert Einstein, ale już nie Wassily Kandinsky – dla przykładu). Kolejną możliwością, było opuszczenie USA i z innego kraju staranie się o wizę wjazdową do USA, na przykład wizę typu "H". Nie chciałam jednak natychmiast opuszczać Stanów, bo za granicą nie miałam skrystalizowanych widoków zatrudnienia, oraz nie za bardzo miałam nawet gdzie się zatrzymać, natomiast w USA ciągle pracowałam. Niczego jeszcze się nie dorobiłam, by móc wyjechać do Kanady czy Meksyku, aby poprostu czekać na nową wizę. Nie chciałam prosić o azyl, bo w rzeczywistości nic takiego złego mi się w Polsce nie zdarzyło, a prześladowania, które mogłyby nastąpić gdybym wróciła, nie były żadnymi realnymi faktami.

Zaczęłam więc zbierać materiały dowodzące, że jestem "*internationally recognized scientist*", taki Einstein w mojej dziedzinie naukowej, zdając sobie świetnie sprawę, że nie mam wielkich szans na uznanie mnie za takowego przez urzędników Immigration; wiedziałam jednak, że da mi to czas na wypracowanie innej drogi – uzyskania zwolnienia z restrykcji tej wizy przez jeden z Departamentów rządowych USA.

Wiedząc o moich problemach uniwersytet, na którym pracowałam, bardzo mi pomagał i przedłużył mój kontrakt o następne 6 miesięcy. Uniwersytet ten prowadził współpracę z wojskiem; ja sama pracowałam nad kilkoma wspólnymi projektami, tematy których nie były utajnione. Na moją prośbę, poprzez Uniwersytet, wojsko wystąpiło z petycją o zniesienie restrykcji mojej wizy J-1. Sama zresztą przygotowałam odpowiednie dokumenty i opis sprawy, cały stos papierów. Procedura była bardzo skomplikowana. Wojsko poparło mnie i wystąpiło z tą petycją do Pentagonu. Pentagon zaakceptował i wysłał ją potem do Departamentu Stanu, a ten z kolei, z poparciem mojej sprawy – wysłał ją do Departamentu Pracy. Wszystko to trwało ponad rok, ale wreszcie w odwrotnej kolejności instytucje te przesłały zgodę na zniesienie restrykcji wizy J-1, która wreszcie dotarła do mnie. To był najważniejszy i zwycięski element w mojej sprawie!

W międzyczasie zaczęłam się starać o bardziej stabilną pracę. Miałam dużo szczęścia. Wiele uniwersytetów szukało wtedy profesorów z mojej specjalności. Wysłałam 20 podań o prace na reklamowane wakujące pozycje, otrzymując w odpowiedzi siedem zaproszeń na inteview. Jeździłam więc po kraju i wkrótce otrzymałam siedem konkretnych ofert pracy! Prawdopodobnie pomogła mi w tym ustawa "*Affirmative Action*" o, między innymi, niedyskryminowaniu kobiet, aczkolwiek wtedy o niej nawet nie wiedziałam!

Wybrałam pracę niestandartową, nie na uniwersytecie, lecz w prywatnym laboratorium przemysłowym. I nie pomyliłam się. Moje dalsze badania naukowe okazały się niezwykle wydajne, zarówno pod kątem praktycznym jak i teoryetcznym. Rezultatem przeszło 18-stu lat pracy w tym laboratorium było blisko 200 przyczynkowych arykułów oraz obszerna monografia. Mój styl pracy

niewiele się zmienił od czasów pracy w Polsce, lecz jakże usprawnił! Potrzebne materiały znajdowały się w zasięgu ręki. Nowe stanowiska eksperymentalne były tworzone szybko, bez zbędnej biurokracji. Jeździłam też po całym prawie świecie zarówno na konferencje międzynarodowe, jak i z własnymi wykładami.

Opuściłam to przedsiębiorstwo blisko sześć lat temu i od tego czasu prowadzę własną firmę konsultingową.

Natychmiast po zatrudnieniu mnie w 1981 roku, pracodawca wystąpił do Urzędu Imigracyjnego o przyznanie mi zielonej karty. Praktycznie też, ja sama wiedziałam już wszystko co było w tym celu potrzebne – jakie formularze, załączniki, gdzie co podpisać, więc instytucji nic to nie kosztowało – ani czasu ani pieniędzy. I tak, wkrótce moje papiery z prośbą o przyznanie mi statusu Rezydenta USA, dowodzące "*international recognition*" jako podstawę do anulowania restrykcji wizy J-1, zostały złożone w Urzędzie Imigracyjnym (wtedy jeszcze zgoda z Departamentu Pracy nie nadeszła).

Wszystkie sprawy urzędowe załatwiałam sama. Ludzie wokół nalegali, by zaangażować adwokata. Rozmawiałam z trzema. W każdym przypadku, już po 10-ciu minutach rozmowy orientowałam się, że w mojej własnej sprawie oni wiedzieli dużo mniej niż ja, natomiast natychmiast żądali 50 dolarów zapłaty za te 10 minut rozmowy. Szybko przeliczyłam ile mnie może kosztować – nie tyle ich pomoc, co uczenie ich, i nie widząc żadnych korzyści – rezygnowałam z ich uslug. Na szczęście prawo amerykańskie nie zmusza nikogo do posługiwania się adwokatami.

Jak sądziłam, statusu "*internationally recognized scientist*" nie musiałam do końca udowadniać, bo w międzyczasie otrzymałam zgodę z Departamentu Pracy na zniesienie restrykcji wizy J-1. To wystarczyło już całkowicie do zdobycia statusu rezydenta.

Zieloną kartę otrzymałam w marcu 1982 roku. Było to moje osobiste zwycięstwo i ogromna radość!

W ciągu wszystkich piewszych lat pobytu w Ameryce nie obyło się bez typowych, koszmarnych snów emigrantów. W snach byłam spowrotem w Polsce, prześladowana i zagubiona, beznadziejnie szukając pomocy. Budziłam się przerażona i zlana potem, by po chwili dezorientacji z radością powitać nowy dzień w Stanach Zjednoczonych.

Moj syn uzyskał magisterium w 1982 roku i kontynuował naukę na studiach doktoranckich. Miał ciągle przedłużane wizy studenckie. Wtedy jeszcze nie był zdecydowany czy chce pozostać w USA. Wiedział jednak, że decyzja musi być podjęta szybko, bo ja, jako legalny już imigrant ze statusem rezydenta mogłam być jego sponsorem dopóki jest on studentem.

I tak się stało. Ja już byłam świetnie obeznana z formalnościami imigracyjnymi. Wielu funkcjonariuszy Urzędu Imigracyjnego USA nie lubi jednak, gdy petent przychodzi sam, bez adwokata. Starają się na siłę go spławić byle czym. Udają, że nie rozumieją jego "języka angielskiego".

Śmieszną i żenującą była scenka, gdy po serii petentów z towarzyszącymi ich adwokatami, mój syn ze mną stanęliśmy przed kontuarem na wprost opasłej, bardzo pewnej siebie, Pani Urzędniczki. Była to kolejna wizyta w tym Urzędzie Imigracyjnym; pierwsze zgłoszenie odbyło się dość bezboleśnie około półtora roku wcześniej. W międzyczasie, co parę miesięcy prosiłam moją sekretarkę w Laboratorium, by zadzwoniła do owgo Urzędu Imigracyjnego z zapytaniem z którego miesiąca podania są obecnie rozpatrywane. Na ogół takie telefony były trudne, urzędnicy odpowiadali bardzo niechętnie, udawali, że nie rozumieją o co chodzi. Moja sekretarka nie dawała się zbyć byle czym. W czasie kolejnej próby porozumienia się z tym Urzędem od razu nawrzeszczała na nich z góry, że "ona jest urodzona w Teksasie i życzy sobie, żeby jej nie traktowano jak barachło!" W sierpniu 1984 roku dowiedziała się wreszcie, że rozpatrują podania z lipca 1983. My złożyliśmy to podanie w kwietniu 1983. Świetnie! Wydzwoniłam syna, który był na uniwersytecie w sąsiednim Stanie i

pojechaliśmy do Urzędu Imigracyjnego. W długiej zakręconej kolejce stali potulni imigranci wraz ze swoimi adwokatami. Gdy po paru godzinach znaleźliśmy się przed kontuarem, opasła Pani Urzędniczka niechętnie rzuciła okiem na przedłożoną teczkę papierów, a na nas popatrzyła wręcz jak na nierozgarniętych natrętów bez adwokata. Po obejrzeniu frontowego formularza podania natychmiast stanowczym głosem oznajmiła, że "wy nie możecie teraz składać tych papierów". Ja spokojnie zapytałam dlaczego. Na to ona, że "teraz załatwia się sprawy z lipca, a wy składaliście w kwietniu". Tego właśnie dowiedziałam się wcześniej, więc się zgadzało. Powiedziałam jej, że właśnie taką informację otrzymałam telefonicznie i że życzę sobie rozmowy z Kierownikiem (tego się nauczyłam za Komuny).

– Kierownika nie ma. – usłyszałam w odpowiedzi. Nastąpiła konsternacja, a tuż za nami reszta kolejki z adwokatami zaczynała się już też denerwować, że zabieramy im czas. Opasła Pani Urzędniczka również traciła cierpliwość. Mój syn w tym momencie był już gotów wyjść, bo zupełnie niesłusznie sądził, że przyszliśmy ZA PÓŹNO. A ja intensywnie w myślach szukałam przyczyny nieporozumienia. Wreszcie Pani Urzędniczka wściekle stukając grubym palcem w nasze papiery wywrzeszczała:

– My załatwiamy sprawy z lipca, a wy złożyliście w kwietniu!! – W tym momencie wreszcie zrozumiałam o co jej może chodzić i powiedziałam spokojnie:

– Ale przecież kwiecień jest PRZED lipcem! – I wtedy dopiero PANI raczyła popatrzec na rok. Zgadzało się! Głównie przecież chodziło jej o to, by nas byle czym spławić; bez adwokata – won! Od tego momentu zaczęła być jednak bardziej uprzejma. Ale też – przeglądając papiery ciągle niedoszukiwała się czegoś: "A to tego albo tamtego brakuje!" Wtedy spokojnie wyciągaliśmy ze stosu odpowiedni dokument. Wszystko było i ona wreszcie musiała to zaakceptować.

Wyszliśmy wtedy zwycięsko, ale nie powiem jednak, by załatwianie spraw imigracyjnych należało do przyjemności. Każde następne przedłużanie "zielonej karty" było okropną, poniżającą udręką. Dlatego też z niecierpliwością doczekałam się terminu, kiedy wolno mi było złożyć papiery w celu otrzymania obywatelstwa.

Obywatelstwo USA uzyskałam w 1987 roku, a syn – w dwa lata poźniej. W dniu otrzymania przeze mnie obywatelstwa moja firma wyprawiła ogromne bardzo miłe party na cześć "nowych obywateli amerykańskich". Poza mna, obywatelstwo tego dnia otrzymała Filipinka, która wyszła za mąż za Amerykanina, pracownika firmy; jej było dużo łatwiej!

Całe moje otoczenie w pracy nie zdawało sobie wcale sprawy jak trudno stać się obywatelem USA i śledziło pilnie moje zmagania na rzecz uzyskania statusu rezydenta. Teksaska sekretarka dobitnie porównała moje wielomiesięczne zabiegi i stosy papierów ze zwyczajnym klepnięciem noworodka w plecy: "I już jest obywatelem USA!"

Co straciłam emigrując z Polski? Utraciłam bezpośredni dostęp do kultury, w której wyrosłam i do której byłam przywiązana. Musiałam nauczyć się i zaakceptować nową, musiałam "wpasować się" w nowe środowisko. Moja decyzja pozostania w Ameryce była w owym czasie "na zawsze" i "nigdy". Liczyłam się z tym, że nigdy już Polski nie zobaczę. Straciłam wszystko czego się w Polsce dorobiłam. Nie pierwszy zresztą raz; moja rodzina i ja straciliśmy cały dobytek, wygnani przez Hitlerowców po Powstaniu Warszawskim i po spaleniu naszego domu, a starsze pokolenie mojej rodziny straciło majątki jeszcze w czasie Pierwszej Wojny Światowej.

Moi przyjaciele byli tam w Polsce, ale daleko, niemal nieosiągalni. Praktycznie życie zaczynało się w Ameryce od nowa, od zera.

Ogromną i bardzo przyjemną niespodzianką było obalenie komunizmu. Wprost nie mogłam w nie uwierzyć! Po raz pierwszy pojechałam do Polski w 1992 roku. Przyjaciele witali mnie z radością. Ale moje mieszkanie już władze zdążyły mi odebrać na podstawie kłamliwego oświadczenia

lokatora. Nie miałam ani siły ani czasu o nie walczyć. Teraz bardzo żałuję. Wielu moich przyjaciół ma obecnie dwa miejsca zamieszkania – w Ameryce i w Polsce.

Co mi dała Ameryka? Niewątpliwie pozbyłam się tutaj kompleksu niższości. Tu życie jest dużo łatwiejsze, ludzie są pogodni, przyjacielscy (aczkolwiek dość powierzchownie). W Polsce, zwykle nieznani sobie ludzie, zdenerwowani codzienną bieganiną, szarzyzną, wyrywaniem sobie dóbr, bo dla wszystkich nie starcza, z założenia nienawidzili bliźnich, patrzyli zawsze na siebie wilkiem. Bezimienni, obojętni przechodnie byli wrogami, dlatego tylko, że istnieją, że są dla siebie konkurencją, podobnie jak w doświadczeniu ze stopniowym przeludnianiem (przeszczurzaniem?) szczurow w klatce, gdy po osiągnięciu krytycznej liczby szczury zaczynają się zjadać nawzajem… Tu w Ameryce – nieznani sobie ludzie uśmiechają się, w miejscach publicznych, wymieniają między sobą mało znaczące, lecz zawsze miłe uwagi. I to jest niezwykle przyjemne, aczkolwiek nawiązywanie prawdziwych, długotrwałych przyjaźni nie jest tu wcale łatwe.

W Polsce, mimo oficjalnego równouprawnienia kobiet, w pracy zawodowej byłam na końcu i musiałam wypracowywać sobie moje własne szlaki, wynajdowywać szczeliny, w których moi koledzy się nie mieścili. Jedną z tych szczelin były procenty z moich ciągłych, pracochłonnych inwestycji w nauce języków; opanowałam dość biegle trzy języki obce.

Nawet prowadzenie samochodu w Polsce było kwitowane zgryźliwymi komentarzami: "Ooo, baba za kierownicą!!" Zwyczajne zarejestrowanie samochodu stanowiło niemałą przeprawę. Pamiętam historię, gdy w 1978 roku pojechałam moim dwuletnim Fiatem-maluchem do kolejnejnego przeglądu technicznego potrzebnego do jego rejestracji. Przedtem zebrałam odpowiednie informacje, wyczyściłam samochód i zestresowana – pojechałam. Po wyczekaniu się w długiej kolejce, patrzący na mnie z góry groźny pan inspektor kazał mi włączać kolejne przyciski, co ze zdenerwowania niezbyt biegle wykonywałam, więc mnie strofował. Następnie kazał mi otworzyć maskę samochodu. Popatrzył na mnie z góry i natychmiast sarkastycznie stwierdził:

– Ooo, silnika pani NIE UMYŁA!! –

– Nie wiedziałam, że trzeba… – wyjąkałam, już mając w perspektywie ponowne przyjeżdżanie tutaj z umytym silnikiem i kolejne tracenie czasu. A na to pan inspektor:

– To jak pani idzie do lekarza, to TEŻ SIĘ PANI NIE MYJE?!! – Zniszczył mnie doszczętnie.

W Ameryce nikt nigdy tak bezczelnie i haniebnie mnie nie potraktował.

W kilka tygodni po uzyskaniu "zielonej karty" pojechałam do Kanady na konferencję, po której odwiedziłam przyjaciół, którzy wyemigrowali z Polski do Kanady w 1969-tym i którzy gościli mnie tam w 1973 roku. U nich właśnie praktycznie rozpoczęła się rewolucja zarówno w moich poglądach na emigrację jak i w życiowej karierze. Tutaj "zaraziłam" się Zachodem, tu próbowałam naprawdę moich sił, stąd stawiałam pierwsze kroki, nie wierząc, że może mi się udać. Pamiętam swoje walki wewnętrzne i rosterki, starch przed nieznanym i trudnym. Bojąc się, jak kot macając grunt, stąpałam dalej i dalej. Teraz już ogromną górę, niebotyczny szczyt miałam za sobą. Korzystam z wyników. Mogę żyć jak normalny tutejszy człowiek! To jest wreszcie osiągnięcie stanu, do którego przez tyle lat dążyłam, nie wiedząc z której strony i jak rozpocząć jego osiąganie. Miałam ogromną satysfakcję, że zupełnie nie tuzinkowo pokonałam wszelkie trudności.

Z owego poprzedniego pobytu u tychże przyjaciół i moich "pierwszych kroków" w USA w 1973 roku mam następujące niezatarte wspomnienie: Znajomi naukowcy zaprosili mnie bym wygłosiła referat na seminarium w jednym z niewielkich uniwersytetów. Większość słuchaczy była niezwykle zdziwiona, gdy na podium znalazła się kobieta. W czasie obiadu po seminarium jeden z profesorów zrobił kąśliwą uwagę na temat mojego zaangażowania w pracę zawodową. Pewnym siebie głosem stwierdził, że "kobiety zostały stworzone wyłącznie w celu uszczęśliwiania mężczyzn". Niezwłocznie odparłam atak:

– A ja słyszałam, że mężczyźni zostali stworzeni do tego, by rozwiązywać wielkie światowe problemy i, *by the way*, jakie jest Pana zdanie na temat konfliktu rosyjsko-chińskiego na rzece Ussuri? (w owych czasach była to sprawa aktualna). Pan profersor znieruchomiał i tylko zdołał szeroko otworzyć oczy i paszczękę… ale niczego nie wykrztusił.

W tamtych czasach rzeczywiście kobiet na stanowiskach w USA prawie nie było. Należy tu dodać, że feministką wcale nie jestem.

Firma, w której pracowałam, organizowała liczne seminaria szkoleniowe dla swoich kientów. Wielokrotnie prowadząc wykłady na tych seminariach, jak również prowadząc wykłady na innych seminariach, głównie uniwersyteckich, mój nie-amerykański akcent zdradzał, że jestem tutaj świeżym przybyszem. Nie było żadną tajemnicą, że przyjechałam do Stanów z Polski. Wiedząc od dawna, że Polacy kojarzą się Amerykanom z dość dyskryminującymi dowcipami "*Polish jokes*", starałam się od razu udaremniać jakiekolwiek niesympatyczne aluzje. Mając przed sobą nieznane mi wcześniej audytorium zaczynałam mój wykład od… *Polish joke*. Pytałam słuchaczy, czy znają ten stary dowcip "ilu trzeba Polaków by wkręcić żarowkę w lampie na suficie?" Odpowiedzią jest: "Czterech. Jeden wchodzi na stołek, przytyka żarówkę do oprawki, a trzech obraca stołek." Następnie tłumaczyłam słuchaczom, że tego typu głupie dowcipy krążą po świecie w najrozmaitszych wersjach, bo każda grupa ludzi, czy też całych nacji, zawsze uważa, iż inna grupa jest dużo głupsza, warta ośmieszania. W Polsce Ludowej takie dowcipy dotyczyły nie żadnej innej narodowości – lecz grupy zawodowej, która w warunkach komunizmu była najbardziej znienawidzona, mianowicie – milicjantów. Ten sam dowcip opowiadany w Polsce, w "wersji milicyjnej" miał jednak dodatkową, dużo lepszą pointę. Początek jest ten sam: "Ilu trzeba milicjantów, etc…" Ale na końcu jest jeszcze jedno pytanie: "A ilu potrzeba OFICERÓW milicji, by wkręcić tę żarówkę?" Odpowiedzią jest: "Tylko jednego." "Jak on to robi? Wchodzi na stołek, przytyka żarówkę do oprawki i… czeka. Oficer jest przecież wykształcony i wie, że ZIEMIA SIĘ OBRACA…"

Po takim, głupim w istocie, dowcipie zaczynałam właściwą część wykładu. Moja pozycja i atmosfera na sali była od razu prawidłowo ustalona i szybko uzyskiwałam bezpośredni kontakt ze słuchaczami… W czasie przerw dzielili się zwykle ze mna nie tylko uwagami na tematy merytoryczne, lecz rownież i innymi anegdotkami.

W rok po uzyskaniu "zielonej karty" spędziłam pierwszy od przyjazdu do USA prawdziwy urlop – na Hawajach. Właśnie wtedy, w przepięknej scenerii wysp, zdałam sobie sprawę jak daleko udało mi się już dotrzeć (nie geograficznie, lecz w drabinie społecznej nowego kraju), jak wiele osiągnęłam dzięki Ameryce. Mieszkając w Polsce wszystko było na miarę "Światowego życia" Młynarskiego: "…*światowe życie, szum i gwar, feerią neonów błyszczy mleczny bar… właśnie wpłaciłem pierwszą z rat, nową Syreną pędzę w wielki świat, mijając setki równie pięknych aut, na bal spółdzielców lub działaczy rau*t…". W Polsce snobi, lub raczej handlarze – elita finansowa społeczeństwa, jak również polityczna elita "u żłobu" jeździła na urlopy do Grecji, Hiszpanii, a szczytem były Wyspy Kanaryjskie. Naukowcy – elita intelektualna, mogli sobie tylko pozwolić na spływy kajakowe na Mazurach. Brakowało proporcji, wszystko jakby żyło odwrócone w krzywym zwierciadle – to wynik zarówno charakteru narodowego jak i koszmarnego, demoralizującego systemu komunistycznego. Będąc na Hawajach czułam się szczęśliwa, że się z tego systemu wyrwałam, że w Ameryce można żyć normalnie, na co można zasłużyć własną pracą, a nie kombinatorstwem, lizusowstwem, sprzedajnością i kłamstwem. Oraz, że te zasługi i dobra są tutaj trwałe, a nie zdobywane, wyrywane od czasu do czasu, co staje się tylko przedmiotem zazdrości i drapieżności innych.

Piętnaście lat poźniej zostałam Przewodniczącą Komitetu Organizacyjnego Konferencji Międzynarodowej, ISROMAC (International Symposium on Rotating Machinery), która odbywała się w Waikiki Beach na Hawajach. W czasie organizowania tej konferencji znalazłam ogromną pomoc w

postaci Polskiego Przedsiębiorstwa Turystycznego na Hawajach, kierowanego przez Honorowego Konsula Polski, Bożenę J. (Chyba już nie ma Polaka w USA, który by nie znał Bożeny!) Po raz pierwszy w 12-stoletniej historii cyklu tych konferencji, wraz z Bożeną sprowadziłyśmy na nią, a po konferencji – na wycieczkę po wyspach hawajskich, aż 30 Polaków z Polski, co stanowiło 15 procent uczestników z całego świata na tej konferencji! Ogromną przyjemnością i satysfakcją było dla mnie goszczenie rodaków.

Podsumowując – moja emigracja była emigracją wymuszoną przez koszmarny system komunistyczny. Ale była też emigracją świadomą. Dzięki wyrachowanemu podejściu analizowania wyników moich badań środowiskowych wybrałam Stany Zjednoczone, jako kraj imigrantów z kulturą wprawdzie diametralnie odmienną niż polska, ale stosunkowo łatwo akceptowalną. Wnioski wyciągnięte z moich wstępnych badań środowiskowych uchroniły mnie przed dotkliwymi skutkami konfrontacji nadziei i wyobrażeń z realną rzeczywistością danego kraju imigracji oraz zderzeń z obcym systemem norm i zasad, konfontacjami, które tak często głęboko dotykają wielu imigrantów. Miałam dużo szczęścia, że moja pozycja społeczna od początku była wysoka i uznawana przez otoczenie. Uniknęłam depresji związanych z brakiem poczucia bezpieczeństwa i społecznej akceptacji. W stosunkowo krótkim czasie moje życie już biegło na podobnych zasadach jak życie innych Amerykanów. Nauczyłam się też częściej uśmiechać do otoczenia.

Wynikiem trudności asymilowania się w nowym kraju, jak również skutkiem naszych polskich przywar narodowościowych jest bardzo przykry fakt, że Polacy na emigracji często kłócą się ze sobą. Zwaśnione rodziny, zwaśnione organizacje polskie przenoszą swoje spory do nowych "ojczyzn". Aż wstyd, gdy słyszy się na przykład o dwóch w jednym mieście "Stowarzyszeniach Byłych Kombatantów Armii Krajowej", które nawzajem zaciekle zwalczają się, a ich działacze nie mówią sobie nawzajem nawet "dzień dobry". Nie sądzę, by takie organizacje były w stanie osiągnąć cokolwiek pozytywnego.

Gdy ktoś z nowej emigracji krytykuje Amerykę, bo oczywiście sporo spraw można by tu udoskonalić, odpowiadam, że przede wszystkim my wszyscy imigranci powinniśmy być Ameryce głęboko wdzięczni, że Ameryka jest właśnie taka jaką jest. Że ludzie tego kraju, jacy by nie byli (oczywiście "nie oddaliby własnej koszuli" i "nie podzieliliby się ostatnią kromką chleba"…), stworzyli ten kraj, najlepszy na świecie, do którego my i tysiące innych mogliśmy imigrować i stosunkowo łatwo zaaklimatyzować się. Na równi z "obywatelami od pokoleń", musimy czuć się dziś odpowiedzialni za wszystkie tutejsze sprawy, które wydają nam się nieprawidłowe i nie krytykować, lecz aktywnie wspólnie starać się je rozwiązywać.

Gardnerville, Nevada, 2005



Autorka – jako Przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego inauguruje międzynarodową konferencję ISROMAC w Waikiki Beach na Hawajach w 1998 roku